

Moi rodzice byli święci

Prof. Rafael Alvira odwiedził Warszawę. Jest synem Tomasza i Franciszki Alvira, hiszpańskiego małżeństwa, a dziś – kandydatów na ołtarze. Z tej okazji podajemy rozmowę Agaty Puścikowskiej z Gościa Niedzielnego (22.02.2009).

29-09-2019

Matka była bardzo wesoła, ojciec „miał gadane”. Mieli dziewięcioro dzieci, z których pierwsze zmarło w wieku pięciu lat. Jeden z synów został

księdzem, drugi jest profesorem uniwersytetu Nawarry w Pampelunie (Hiszpania).

Agata Puścikowska: - Kiedy rozpoczął się proces beatyfikacyjny Pana rodziców?

prof. Rafael Alvira: - O rozpoczęciu procesu dowiedziałem się w ubiegłym roku. W sierpniu 2008 r. kardynał, arcybiskup Madrytu zdecydował o podjęciu prac.. Wyznaczył sędziów do trybunału i zaprosił ich na 19 lutego na oficjalne rozpoczęcie procesu. Po zgromadzeniu i opracowaniu materiałów, zostaną one przekazane do Watykanu..

Jakie to uczucie przeżywać proces beatyfikacyjny własnej matki i ojca?

To co powiem, może wydać się nieskromne, ale wiadomość, że rozpoczną się przygotowania do

procesu beatyfikacyjnego moich rodziców, wcale mnie nie zdziwiła. Oni byli święci... Chociaż gdy byłem dzieckiem, ich życie wydawały mi się całkiem zwyczajne. Z rodzicami wszystko było radosne i łatwe. I dopiero gdy skonfrontowałem rzeczywistość swojej rodziny, z rzeczywistością wokół nas, zobaczyłem jak wielkie miałem szczęście....

Jakie było Pana dzieciństwo?

Rodzice mieli sześć córek i trzech synów. Pierwszy – Jose Maria, zmarł nagle, gdy miał pięć lat. Ojciec był dyrektorem prestiżowego liceum w swoim mieście, a matka – z wykształcenia nauczycielka, pracowała w domu. Przy ośmiorgu dzieciach pracy miała aż nadto... Mieliśmy wielu przyjaciół, rodzice byli bardzo otwarci. Dom był zawsze czysty, urządzony skromnie ale ze smakiem. My, dzieci, mieliśmy jeden

pokój, niezbyt porządkny, gdzie mogliśmy wylądować naszą dziecięcą anarchię. Matka uwielbiała żartować i miała ogromny dar rozbawiania wszystkich. Przy tym była osobą, która docierała do każdego, dzięki niej byliśmy w ciągłym, rodzinnym dialogu. Przy stole – a codziennie jedliśmy razem przynajmniej kolację, każde z nas miało chwilę, żeby opowiedzieć co się wydarzyło przez cały dzień. Natomiast ojciec, który świetnie opowiadał dowcipy, „miał gadane”, był dla nas wielkim autorytetem. Rodzice, chociaż weseli i dowcipni, nigdy jednak nie żartowali na temat pracy. Do pracy podchodziło się poważnie: była święta i była czymś, co należy uświęcać. Ojciec żartował nawet, że według Biblii człowiek jest stworzony przez Boga, żeby pracować, ale w Biblii nie ma ani słowa o... emeryturze. Co ciekawe – przejście na emeryturę było dla ojca po prostu zmianą statusu

administracyjnego. Pracował prawie do końca życia – ponad 80 lat. Matka – podobnie. Z perspektywy czasu zobaczyłem, że rodzice robili wszystko dla nas, zapominając o sobie samych. Mieliśmy do nich niewyobrażalne zaufanie. Nie narzucali swojego autorytetu, lecz go mieli.

Krzyczeli czasem na was?

Nie przypominam sobie ani jednej sytuacji, w której ojciec czy matka podnieśli by na nas głos. Bardzo rzadko też prawili nam „kazania”, a jeśli już, to rozsądnie, konkretnie i stanowczo. Prowadzili wobec nas pedagogikę niebezpośrednią, sokratejską. Uczyli nas, żeby nie robić nic ze względu na nagrodę, czy ze strachu przed karą. Starali się, żebyśmy odkryli piękno w tym, czego się uczymy, umieli zauważyć wartość tego, co robimy. I żeby poznanie tej wartości było największą nagrodą.

Wychodzili z założenia, że wychowuje przykład otoczenia, a nie zakazy czy nakazy. W wychowaniu dzieci, budowaniu rodziny, najważniejsze według ojca było środowisko, rozumiane, jako to co to nas fizycznie otacza – ziemia, powietrze, jak i zespół czynników niematerialnych, które kształtują charakter człowieka. Rodzice w swoim życiu kierowali się duchowym kierownictwem Josemarii Escrivy.

Ojciec Pana dobrze znał Świętego...

Owszem. Ojciec był jednym z pierwszych członków Dzieła (Opus Dei – przyp. red.). Ze św. Josemarią i grupą innych osób, przechodził Pireneje (uciekając przed prześladowaniami – przyp. red.). Wiele nocy, po osiem, dziesięć godzin marszu. Mieli przewodnika – znającego realia gór, twardego człowieka. Ze względu na bezpieczeństwo całej grupy

wprowadził on zasadę, że osoby niezdolne do dalszego marszu będą pozostawiane w drodze. W pewnym momencie mój ojciec zasłabł. Przewodnik chciał iść dalej, ale Josemaria zaprotestował. Potem dodał otuchy ojcu: Nie przejmuj się. Będziesz szedł z nami jak inni, aż do końca. Uratowało mu życie. Po latach odwiedziliśmy Świętego całą rodziną w Rzymie. Na widok dzieci zawołał: „niech żyje wolność!”. Zawsze podkreślał, że powołanie do Opus Dei jest sprawą bardzo osobistego wyboru. Nasi rodzice to umiłowanie wolności przejęli właśnie od niego – oboje byli w Dziele, ale nam zostawiali w tej sprawie absolutnie wolną rękę. . Rodzice mieli wobec nas ogromny szacunek. Rzadko nam czegoś zabraniali – działało się to tylko wtedy, gdy chcieliśmy podjąć ewidentnie dla nas złą i krzywdzącą decyzję.

W czym jeszcze przejawiało się kierownictwem duchowe Świętego?

Święty mówił małżonkom: „Ty jesteś jej drogą do nieba, a ona twoją”...

Josemaria mówił też, że najważniejsza w kształtowaniu młodego człowieka jest rodzina.

Natomiast prawidłowym dopełnieniem wychowania dzieci, powinny być szkoły, harmonijnie współpracujące z rodzicami.

Ponieważ trudno było o takie szkoły w ówczesnej Hiszpanii, rodzice byli jednymi z twórców placówek, które dopełniały ich wychowania.

Harmonia w domu, harmonia w szkole... Ale przede wszystkim duch harmonii był w relacjach małżeńskich rodziców... Dla rodziców ważna była też naturalność – dom zawsze przepełniały radość i prostota. Myślę teraz, że to musiało wymagać wielkiego, ciągłego zaangażowania i pracy: taki heroizm

małych rzeczy, naturalna doskonałość osiągnięta z poziomu Boga. A jak mówił Święty, żeby być nadprzyrodzonym, trzeba być ludzkim...

Rodzice nigdy się nie kłócili?

Stosowali radę Josemarii: kłótni jak najmniej, a jeżeli już – to nie w obecności dzieci. Mogli się zgadzać ze sobą, lub nie zgadzać, ale nigdy (!) nie robili wobec siebie jakichś negatywnych komentarzy. I co bardzo ważne – nie krytykowali się wzajemnie.

A Pan i rodzeństwo? Byliście posłusznymi dziećmi?

Czasem dochodziło do domowych sprzeczek, raczej drobnych. Gdy się na rodziców nawet obrażałem, w głębi serca czułem, że... mają rację. I dość szybko złość mi przechodziła. Może dlatego, że zawsze czułem ich miłość? W pewnym momencie

przechodziłem rodzaj buntu: to był wewnętrzny bunt wobec ojca. Jednak dość szybko nabrałem dystansu, zobaczyłem, że to co czuję – nie ma większego znaczenia. Bunt był chyba automatycznie „stłumiony” wielką miłością, którą otrzymywałem od ojca.

Rodzice uczyli was religijności? Wiary?

Uczyli nas ciągłego dziękczynienia - sami za wszystko wciąż dziękowali Bogu. Dbali o życie religijne, ale to nie były formy „wprost”. Uczyliśmy się wiary przez obserwację: rodzice żyli prosto, pobożnie, bez fanatyzmu. Mój brat został księdzem, wszystkie siostry i ja jesteśmy numerariuszami Opus Dei.

**Ktoś powie: „Pana rodzice to było rzeczywiście święte małżeństwo...
My jesteśmy normalni”.**

Oni byli normalni! Chociaż wiem doskonale, że... trudno być normalnym jak oni. Każdy człowiek ma swoje dziwactwa, przyzwyczajenia, co utrudnia wzajemne relacje. Moim celem jest dążenie do takiej właśnie normalności, jaką widziałem u rodziców. Chcę widzieć dobrą stronę wszystkich rzeczy, wciąż dziękować za życie. Chcę być pozytywnie nastawiony do świata i innych ludzi. Może trudno w to uwierzyć, ale moi rodzice nigdy się narzekali! Narzekanie to grzech?

Skarżenie się, narzekanie to nie jest grzech, ale po prostu strata czasu, niczemu pozytywnemu nie służy. Myślał podobnie św Jan od Krzyża, oraz... Nitsche. Gdy mówię o skarżeniu się, mam raczej na myśli gorycz wewnętrzną, wewnętrzne negatywne nastawienie, bunt i brak akceptacji. Tego chrześcijanin musi się wystrzegać. Trzeba natomiast być

pokornym. Pokora jest największą mądrością, a osoba pokorna nie może mieć w sobie goryczy. Pokora to maksymalna mądrość chrześcijanina.

Widział Pan na co dzień ich miłość? Musieli być bardzo zapracowani...

I byli. Miłość widziałem w każdym ich zwykłym geście, słowie... Co ciekawe i chyba godne polecenia wszystkim małżeństwom, rodzice jedno popołudnie w tygodniu mieli tylko dla siebie. Między 17 a 23 wychodzili z domu: do teatru, restauracji, czy na spacer. Ojciec kiedyś powiedział mi, że po wielu latach małżeństwa, mieli z matką ten sam zapał, co pierwszego dnia po ślubie. Co więcej: ojciec mówił, że kocha matkę bardziej, niż za narzeczeństwa. Kiedy ktoś pytał mojego ojca jak tworzy tak niesamowitą atmosferę miłości i

bezpieczeństwa w rodzinie, ojciec mówił po prostu, że jeśli się bardzo chce, to można.

Żeby żyć w taki sposób, trzeba mieć szczególną łaskę...

- O łaskę trzeba Boga prosić. To jedyny sposób, żeby ją otrzymać.

Agata Puścikowska // Gość
Niedzielnny, 22.02.2009

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://
dev.opusdei.org/pl-pl/article/moi-
rodzice-byli-swieci-2/](https://dev.opusdei.org/pl-pl/article/moi-rodzice-byli-swieci-2/) (08-08-2025)